



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



GROBOWIEC KOPERNIKA WE FRAUENBURGU.

Warmia mająca zaledwie trzynaście mil kwadratowych rozległości, położona jest nad zatoką morza Bałtyckiego, Swieżą (Frischhaf), graniczyła dawniej z województwem Malborskim i Prusami książęcami. Po zaprowadzeniu tam przez Krzyżaków w XIII wieku, wiary chrześcijańskiej, Warmią zarządzili biskupi pod zwierzchnictwem W. Mistrza zakonu. Kiedy następnie Prusy poddały się dobrowolnie Kazimierzowi Jagiellończykowi, biskup warmiński otrzymał tytuł księcia z prawem zasiadania w senacie polskim. Ostatnim księciem

biskupem Polakiem, zamieszkującym Frauenburg, stolicę Warmii, był znakomity nasz autor Ignacy Krasicki, zmarły 1801 r. Założycielem Frauenburga poczytują biskupa Henryka I, który w r. 1300 przeniósł z Braunsberga katedrę biskupią, a nazwę Frauenburg (kobięcy gród) miał nadać tej miejscowości na pamiątkę nawróconej na wiarę chrześcijańską poganki imieniem Supny, która dobra swoje kościołowi darowała. Wspaniały gmach katedry na wzgórzu nad miastem wzniesiony był około połowy XIV wieku z czterema

wieźcami, z których jedną wiekopomny nasz Mikołaj Kopernik, przerobił na obserwatorium astronomiczne i tu poczyniwszy sławne odkrycia swoje, dokonał żywota r. 1543. Zwłoki jego spoczywają w katedrze frauenburskiej, po prawej stronie wielkiego ołtarza, a tylko płaska płyta kamienna służy za pomnik grobowy temu, który tak wielki przewrót w dziedzinie nauki zdziaławszy, dotąd jest przedmiotem czci ogólnej nie tylko u swoich ale i u cudzoziemców, którym nie obce jest nazwisko autora dzieła: „O obrocie ciał niebieskich.”

Jadwiga Waznhówna.

## PROFESOR W TECZCE

(Kartka ze znalezionego pamiętnika.)

### I.

Upał był straszny, nie do wytrzymania, poprostu żar ognisty spadał z nieba; to też uczennice pensyi pani S. w Poznaniu, z upragnieniem wyczekując wakacyi, podążały na południowe lekcye, odbywające się od drugiej do czwartej, żółwim krokiem do szkoły.

Byłam wtedy w pierwszej klasie \*) i miałam siedmnaście towarzyszek, równie jak ja dorastających dziewcząt.

Okna naszej klasy wychodziły na południe, a że dla wychłodzenia jej skrapiano rolety i podłogę zimną wodą, panowała w pokoju atmosfera duszno wilgotna, jak w wystawionej na działanie słońca cieplarni, w której dopiero co ogrodnik popodlewał rośliny.

Wszedłszy z rozpalonego bruku do owej klasy, nie czuło się żadnej ulgi, przeciwnie, jeszcze większy brak powietrza, czego następstwem była dziwna ociężałość i często nie dająca się przezwyciężyć sennaść. Co prawda, nie wszystkie moje koleżanki musiały doświadczać tego przykrego uczucia, bo niektóre mimo upału, były wesołe jak dzierlatki, myślały o lekcyi, albo też o... figlach, a nie o drzemce. Ale ja chorowałam przez długi czas na błednicę, byłam bardzo anemiczną i... z natury nie miałam żadnego pociągu do nauki. Chodziłam do szkoły, bo mi kazano; uczyłam się jednak bardzo nieosobliwie, a z klasy do klasy bywałam zwykle z łaski, z litości przepchniętą: dla wieku, słabego zdrowia i t. d. Daleko więcej niż o zadanych lekcyach, myślałam o owej szczęśliwej chwili, w której opuszczę pensyę i stanę się dorosłą panną. Byłam dopiero pierwszy rok w pierwszej klasie, a że kurs trwał dwa lata, więc na drugą Wielkanoc, to jest za rok i dziewięć miesięcy miałam ukończyć nauki. Ukończyć nauki! Boże drogi! Jakaż byłam wtedy z przeproszeniem niemądra! Nie wiedziałam, że gdy się chce coś umieć, całe życie uczyć się trzeba, choć się i do szkoły nie chodzi, i że kto nie idzie naprzód, ten się cofa.

Ale wróćmy do rzeczy.

Zdjąwszy kapelusz w korytarzu, weszłam do klasy i padłam zmęczona na swoje miejsce, które się znajdowało w ostatniej ławce, w samym kącie pod ścianą. Ławki stały rzędem jedna za drugą, aż do katedry profesora, a w każdej ławce siedziały trzy uczennice.

Tak mi było strasznie gorąco i tak się czułam osłabiona, że nawet nie rozpakowałam książek, ale wsparłam głowę na obu rękach, patrzałam obojętnym wzrokiem na klasę i myślałam sobie: „dlugo to jeszcze będzie tej nauki!”

\*) Pierwsza klasa jest najwyższą w Poznaniu.

Towarzyszki moje wchodziły jedna za drugą; niektóre z kwaśną miną i hałasem, wymyślając naupał, twarde ławki i trudne lekcye, większość jednak w podskokach i z uśmiechem, przypominając sobie wzajem wesołą nowinę, że już tylko sześć dni do wakacyi. Jedne zajęły odrazu swoje miejsca i powtarzały zadaną lekcyę literatury; inne przechadzały się po klasie, a Toła Moczańska i Józia Grabowska rozwinięły z niebieskiego papieru „czekoladę w okrucinach” i „obrzynki kwaśnych karmelków”, dwa tanie pensyonarskie specyały, których dostarczał wszystkim gimnazystom i uczennicom uprzywilejowany młodzieży cukiernik, Leon Szyrmer z Wodnej ulicy.

Ostatnia weszła do klasy Leonia Terkowska; nie weszła ona ale wbiegła, bo był to zawołany trzpiot, największa z nas śmieszka, najżywsza i najładniejsza z pośród wszystkich uczennic. Była zawsze wesoła i śmiała się bezustannie, potrząsując rozczochraną grzywką i ukazując śliczne, równe zęby. Uczyła się przytem doskonale, a że dla koleżanek była uczynna i uprzejma, to też wszysej ją lubili.

— Uf! jak gorąco! — zawołała, rzucając na ławę książki. Wiecie, panny, możemy trochę podokazywać, zanim pan Sosenko przyjdzie, bo pani przełożonej niema. Spotkałam ją na Piekarach; zaczepiła mię, pytając czy mama jest w domu. Pewnie więc do nas poszła, a mamusia zatrzyma ją z pewnością na kawę.

— Wyborna nowina — zawołało kilka dziewcząt, i schwyciwszy Lonię za ręce, zaczęły z nią w kółko tańcować. Ja nie ruszyłam się z ławki i coraz większa ogarniała mię sennaść.

Wtem weszła do klasy miejscowa nauczycielka, panna Teresa, trzymając w ręku znaną nam teczkę pana Sosenki, a spojrzawszy przez binokle na klasę, niby to surowym tonem rzekła:

— Pan Sosenko przysłał swoją tekę z ćwiczeniami i kazał powiedzieć, że się trochę spóźni, bo poszedł na pogrzel kolegi z gimnazyum, proszę więc aby panienki zachowały się spokojnie i nie przeszkadzały lekcyi obok. Zresztą przypuszczam, że moje upomnienie jest nawet zbyteczne, bo to przecież pierwsza klasa!

— Dobrze, dobrze, będziemy siedziały cicho jak myszy, tylko trochę potańczymy i popiszczymy, skoro kota niema w domu — zawołała Lonia, i schwyciwszy wespół pannę Teresę, zaczęła ją ścisnąć i całować w oba różowe policzki. Inne panienki poszły za przykładem Loni i panna Teresa ledwo się zdołała z ich objęć oswobodzić. Położyła wtedy tekę na katedrze i wyszła.

— No, panienki, na miejsce i przyzwóicie się zachowywać — zawołała poważna Kazia Czarnecka, pokażmy że umiemy być cicho; a zresztą niech każda powtarza literaturę, bo pewnie za dobrze nie umie.

— E... nie będzie słucał — odpowiedziała Różia Boleska — spóźni się, a potem do końca lekcyi będzie oddawał ćwiczenia, wyśmiewając się z naszych górnych myśli. Taka to zapłata za naszą pracę i łamanie sobie głowy...

Powiedziawszy te słowa, podbiegła do katedry i ująwszy teczkę, podrzuciła ją do góry i chciała następnie ją schwytać, jak piłkę.

Siedziałam ciągle nieruchoma w swym kącie i widziałam doskonale, że w tej samej chwili Zosia Górecka schwyła Rózię za warkocz, Różia przechyliła się w tył i teczka, której nie zdążyła schwytać, spadła z wielkim impetem na stół, przyczem zameczek odskoczył.

### II.

Na ten hałas otworzyłam szerzej klejące się oczy, lecz z teczki nie wysypały się nasze kajety z ćwiczeniami, tylko... wyszedł maleńki człowieczek w popielatym garniturze i złotych okularach na nosku...

Na jego widok wszystkie panny pobiegły na miejsce, przerażone na razie tak dziwnym zjawiskiem.

Mały profesorek, stanąwszy na stole katedry, spojrział poważnym wzrokiem po całej klasie, skłonił się uczennicom i powiedział:

— Pragnę zastąpić pana Sosenkę, a więc rozpoczniemy lekcję. Panno Sobecka, co mi pani umie powiedzieć o Kochanowskim?

Iza Sobecka wstała, spojrziała lekceważąco na małego profesorka i szepnąwszy obudwom swoim sąsiadkom: „podpowiadajcie, podpowiadajcie, nic nie umiem, Sosenko nie byłby mi dzisiaj wyrwał”, zaczęła niepewnym głosem recytować lekcję.

„Jan Kochanowski urodził się r. 1500... 1500 (podpowiadaj, bo nie umiem) 1530 w Czarnolesie...

— Myli się panna Sobecka, Jan Kochanowski urodził się nie w Czarnolesie tylko w Sycynie; widać panna Sobecka nie szczególnie przygotowana, może ją panna Chrzanowska lub inna uczennica zastąpi.

— Nie jestem przygotowana, bo moja mama wczoraj przyjechała i cały dzień chodziłam z nią po sprawunki.

— To proszę następująca...

— Ach, panie profesorze, tak gorąco, możeby okno otworzyć — powiedziała Tola Moczańska.

— Prosimy o otwarcie okna, prosimy, prosimy — zawołano chórem.

Profesor skinął głową na znak przyzwolenia. Wtedy Helenka Solska, siedząca najbliżej okna, wstała i otworzyła je.

Leciuchny powiew wiatru doszedł aż do mego kąta, a Józia Grabowska zaczęła opowiadać życiorys Kochanowskiego. Z wielkim jękaniem (co mnie nie mało zdziwiło, bo Józia uczyła się wyśmienicie) doprowadziła dopiero naszego poetę do Akademii Krakowskiej, gdy w tem w ławce tuż przy oknie odezwały się ciche tony walca, granego w owym czasie przez wszystkie katarynki.

— Panie profesorze, ta muzyka przeszkadza mi strasznie, nic nie rozumiem, co mówię, możeby zamknąć okno — powiedziała Józia.

Panny spojrzwały po sobie i zaczęły się śmiać, wiedziały bowiem wszystkie doskonale, że muzyka nie pochodzi z ulicy, tylko zbytnia wielka, Kocia Słupecka ma pod ławą grającą tabakierkę.

— Ach! jak gorąco! Przedtem było przynajmniej trochę przewiewu, ale teraz nie do wytrzymania — odezwały się zewsząd głosy.

Kocia nie nakręciła drugi raz tabakierki i muzyka ucichła.

(d. n.)

## WOJNY KRZYŻOWE.

(Dokończenie).

Od śmierci Ludwika IX Europejczycy nie nieśli już żadnej pomocy swoim współwyznawcom w Palestynie. Ostatnie ich posiadłości zostały jedne po drugich przez sułtanów egipskich zdobyte.

Hrabstwo Trypolskie upadło w r. 1289, a w r. 1291 po długim oblężeniu i straszliwej rzezi, dostała się w ręce Egipcyan ostatnia twierdza chrześcijańska Ptolemaida, czyli St. Jean d'Acre.

Przy obronie tego miasta, wiekopomną okryli się chwalebą rycerze św. Jana Jerozolimskiego, jedyne z trzech pozostałych w czasie wojen krzyżowych zakonów, który najszlachetniej i z prawdziwym poświęceniem spełniał ślub bronięcia wiary chrześcijańskiej przed niewiernymi. Po upadku Ptolemaidy nie wrócili do Europy, lecz zdobywszy wyspę Rodos, przed dziesięć lat walczyli z Turkami pod nazwaniem „Kawalerów Rodyjskich”, aż wyparci ztamąd, przenieśli się

w XVI wieku na wyspę Malte i przybrali nazwę Kawalerów Maltańskich.

Zakon Templaryuszów, najbogatszy i najmoźniejszy, prędko zaniedbał cel swego istnienia. Przejawszy się miękkimi obyczajami, różnemi przesądami i zabobonami Wschodu, uległ nareszcie w r. 1312.

Zakon teutoński, czyli krzyżacki, przeważnie z Niemców złożony, z Palestyny przeniósł się do Wenecyi a stamtąd w pierwszej połowie XIII wieku do Polski, wezwany przed księcia Konrada Mazowieckiego dla nawrócenia pogańskich Prusaków. Począł on jednak rychło przekładać cele narodowe niemieckie nad religijne. Połowę pruskiej ludności wytępił, resztę zniemczył, a przytem wojował nietylko z poganami lecz i z chrześcijańskimi sąsiadami, jak Polską, a następnie Litwą; Zakon ten stał się podwaliną potęgi Prus dzisiejszych.

Po ukończeniu tego krótkiego szkicu wojen krzyżowych, należy nam jeszcze uprzytomnić sobie skutki i znaczenie tej jedynej w dziejach epoki, gdyż w nauce historii nietylko same wydarzenia, ale ich następstwa badać i sądzić potrzeba.

Wiemy, że pierwsza krucjata cel swój osiągnęła. Pierwsi Krzyżowcy, pomimo największych trudności, wyrwali z rąk niewiernych nietylko Palestynę, ale całą prawie Syryę, lecz ich następcy nie, zdołali tej zdobyczy utrzymać.

Bez wątpienia wiele w tem było winy rycerzy i władców chrześcijańskich, że nie zdołali ukorzyć jednego silnego państwa i zdobyć się na stałą jedność i zgodność w działaniu, jaką wykazali w pierwszej krucjacie ich poprzednicy. Ale trudno było wynagać od ówczesnych ludzi, aby się w XII i XIII wieku wyrzekli w Palestynie ustroju feudalnego, który w Europie aż do XVI wieku przetrwał.

Zresztą, gdyby nawet obronili Ziemię Świętą przed ciągłymi napadami Turków, Seldżuków i Egipcyan, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że musieliby uleść przed potęgą nowego narodu, to jest Turków Ottomanów, którzy, poczynając od połowy XIV stulecia, nietylko podbili Azyę mniejszą, Palestynę, Egipt i cesarstwo Greckie, ale zajęli dokoła wybrzeża morza Czarnego, i pomimo wspólnych wysiłków ludów europejskich, zawojowali półwysp Bałkański, Węgry, nieraz zagrażając Wiedniowi, stolicy cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego.

Przez czterysta lat prawie rosła wciąż potęga Turcyi, i dopiero odsiecz Wiednia przez Jana Sobieskiego w r. 1683 dokonana, była punktem zwrotnym w dziejach tego państwa. Od owej pamiętnej klęski, zwłaszcza wskutek zwycięskich wojen Rossyi, chyli się Turcyca powoli do upadku. Jednakże z woli Opatrzności Ziemia Święta znajduje się wciąż pod jej panowaniem, z tą tylko różnicą, że miejsca święte są teraz otoczone należytą czcią i opieką, a pielgrzymka do nich nie grozi niewolą lub śmiercią i nie przedstawia już żadnych niebezpieczeństw, oprócz zwykłych trudów dalekiej podróży po kraju nawpół cywilizowanym.

Ale chociaż główny cel wojen krzyżowych osiągnięty nie został, jednak te dwuwiekowe walki z niewiernymi i ciągle wyprawy na wschód, przyniosły Europie niezmiernie ważne korzyści.

Zbliżyły one ludy europejskie, które żyjąc dotąd odosobnione i w niezgodzie, mało się znały. Francuz, Włoch, Niemiec, Anglik łączyli się razem pod godłem męki Zbawiciela i szli na dalekie wyprawy na śmierć i życie, dla wspianiałej idei, odzyskania Grobu świętego.

Wspólne ich cierpienia, wspólne trudy i wspólna chwalebna, ułatwiały zawiązywanie bratnich między sobą stosunków, w obec wielkiego celu i jednego wspólnego nieprzyjaciela malały wzajemne waśnie i niezgody i powoli układały się pierwsze podstawy spokojnego życia społecznego i międzynarodowego.

Krucjaty przyczyniły się też do znniejszenia różnie stanowych, gdyż najniższy wasal przez poświęcenie swoje podnosił się w mniemaniu ogólnem i stawał poniekąd równym swojemu suzerenowi.

Ale nie tylko pod względem moralnym i społecznym odbiła się dodatnio epoka wojen krzyżowych na ludach europejskich; rozproszyła ona po części mgłę barbarzyństwa, długo nad zachodem ciężająca, zapoznając ich z cywilizacją wschodu, zmuszając do wysiłków myśli przy dalekich wyprawach, i ożywiająca wszechstronnie ruch umysłowy i handlowy.

W ziemiach arabskich matematyka, medycyna, literatura, były już wówczas w kwitnącym stosunkowo stanie i narody europejskie mogły się tam wiele rzeczy nauczyć. To też ze wschodu przenieśli Krzyżowcy do Europy sztukę pielęgnowania jedwabników i wyrobu jedwabiu, uprawę trzciny cukrowej, użycie papieru, młynów wietrznych, lepsze hartowanie stali i t. d.

Rozpowszechnienie piękniejszej architektury, staranniejsze ubranie mieszkań, wynalazki stół i wygodniejsza odzież, które od XIII wieku już się dały spostrzegać w Europie, mianowicie w miastach włoskich, było owocem długich stosunków ze Wschodem. Słowem, wojny krzyżowe, jakby w nagrodę za tyloletnie trudy i ofiary, rozszerzając zakres wiadomości ludów europejskich, wpłynęły nader korzystnie na ich życie domowe i publiczne, oraz na ich dobrobyt i oświatę.

A. & Ch. Borhowska.

## Panna Marychna z Oporowa

(Dokończenie).

— Daremnie — pomyślała Marychna — oni nas już spostrzedz musieli, ukryć się nie zdołamy, tem więcej, że rów ten przebyć nie łatwo. Dzieci drogie — rzekła głośno — pamiętajcie, że Bóg czuwa nad nami nawet wtedy, gdy dostajemy się w ręce wroga.

Dziewczęta przytuliły się do siostry, Katarzyna załamała ręce z rozpaczą.

Marychna zwróciła wreszcie oczy ku drodze.

Kilku zbrojnych puściło się już cwałem ku miejscu, gdzie stała, a na ich czole był rycerz, powiewający białą chustą.

Marychna poznała w nim wojewodę i wyciągnęła ręce z radosnym okrzykiem.

Nagle myśl straszna, że powraca sam stłumiła jej radość i przykuła ją do ziemi. Stała tak blada i jakby zmartwiała, nie mogąc słowa przemówić, podczas, gdy siostry i Katarzyna odbiegły dalej. Wojewoda odgadując uczucia dziewczęcia, w milczeniu tylko wskazał ręką na gościniec, gdzie zatrzymała się reszta jego orszaku, a Pietrek i Włostek wraz z Zofką dopomagali zsiadać z konia statecznej pani, której ręce okrywali pocałunkami.

Teraz Marychna pojęła wszystko i pędem strzały puściła się ku drodze, gdzie wkrótce dopadła kolan matki.

Nie będziemy opisywać powitania pani Hanny z dziećmi, bo na to słów nam nie starczy.

Gwiazdy już świeciły na niebie gdy wszyscy powrócili do Torunia, gdzie wnet rozbiegła się wieść o cudownem wyzwoleniu zaginionej pani z przemocy krzyżackiej.

W kilka jeszcze tygodni po powrocie, pani Oporowska niemogła wierzyć swemu szczęściu, gdy przez chwilę nie widziała dzieci; mając je tylko ciągle przy sobie, czuła, że je odzyskała. One też czepiały się nieustannie matki jak gdyby się lękały, aby im znowu nie została wydartą. Jadwicha szczególnie na krok jej odstąpić nie chciała.

Nieraz obudziwszy się w nocy, stąpając zeicha, przychodziła do łóżka matki i patrzyła, azali jest w istocie. Od rana zaś do wieczora pytywała się o wszystkie szczegóły jej uwięzienia i o przygody Marychny. której poszukiwaniom zawdzięczała swobodę.

W domu wojewody nie mniejsza była radość z powrotu ojca i syna, który wprędce przychodził do zdrowia. Pani Oporowska odwiedzała często swego mężnego obrońcę, a raz nawet przyprowadziła córki, aby mu podziękować mogły, czego też dopełniły ochotnie. Młodzieniec uradował się widokiem miłych dziewczątek, którym ocalił matkę, a już co panna Marychna, to wyraźnie chwyciła go za serce. Oboje rodzice, którzy ją bardzo pokochali, poczęli się też zaraz cieszyć nadzieją, że naprawdę zostanie ich córką. Co zaś do panny Marychny, ta zajęta jedynie radością odzyskania matki, nie mogła myśleć o niczem innem, lubo serdecznie miłowała tych, których pomocy i opiece zawdzięczała obecne szczęście.



Pingwiny dorównywiają pieczyściemu z kurczęciami (str. 256).

Gdy się to działo w Toruniu wojska królewskie przypuściły szturm do Sthumu. Krzyżacy, jakkolwiek zamknięci tam w niewielkiej liczbie, mężzy dawali opór; po niejakiem czasie nie stało im chleba i mąki, końskiem żywili się mięsem, a z podobnej strawy, jak powiadają kroniki, ciężko chorować i umierać poczęli.

Chciwy Ulrich, który dręczył tak nieszczęśliwie wdowę i sieroty, aby zagarnąć ich mienie dla brata, nie poległ na polu bitwy jak tego pragnął, lecz dotknięty ciężką niemocą, złożyć musiał dowództwo załogi, a w końcu zmarł po długich cierpieniach.

Brat jego Albert pozostał do ostatka w Malborgu i później nie opuścił mistrza, a choć żył długo, nie spotkał nigdy swych ofiar, chroniąc się przed tem pilnie.

Gdy załoga sthumska nie miała już więcej nad stu kilkudziesięciu ludzi, weszła w układy o poddanie. Zwycięzcy ze względu na waleczność obłożonych, którą cenić musieli, zapewnili im wolne wyjście z wszelką własnością, a nawet działami i amunicją. Kilkudziesięciu tylko z tych rozbitków udało się do Malborgu, gdzie wynędziały ich postacie wzmogły ogólny smutek i trwogę, reszta zaś przyjęła służbę w wojsku królewskiem. Nie będziemy tu powtarzać dalszych dziejów tej krwawej wojny z zakonem, który nie chciał od-



Gdy ranek wiosnowy  
Pogodny, majowy,  
Gaj ptuszków po łąkach rozwija;  
Rój kwiatów skrzydlaty,  
Z piosenką do góry się wzbija.  
To pliszka, jaskółka,

Skowronek, kukulka,  
Wybiegłszy z pod liści zakrycia,  
Świegotem, kukaniem,  
Witają zaraniem,  
Wschód słońca i ciepło, znak życia.  
T. L.

# SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

stąpić dobrowolnie pozostałych jeszcze w swem ręku dzierżaw. Od czasu gdy Kazimierz Jagiellończyk odbierał hołd od miast i szlachty ziemi chełmińskiej, upłynęło lat trzynastcie, zanim potęga krzyżacka złamaną została i „wielki szpital narodu niemieckiego”, jak się zakon sam nazywał z powodu, że dawał opatrzenie młodszym synom niemieckiej szlachty, po krwawej walce zmuszony był ustępować z zajętych miast i grodów.

Wtedy to wielki mistrz Ludwik von Erlichshausen przystał na układy. Historia miasta Torunia podaje o nich następującą wzmiankę:

Przez czas trwania układów, wielki mistrz miał zamieszkać w Chełmie, król Kazimierz zaś w Toruniu; rozprawy pełnomocników miały się odbywać w Chełmicy, a po ich ukończeniu miał mistrz do króla zjechać. Jako pośrednik z ramienia Pawła II go przybył Rudolf, biskup Lewantu. Tymczasem uprosił mistrz, by układy się toczyły w innym mieście, a nie w Chełmicy, gdzie wielki niedostatek panował. Król chętnie zgodził się na Nieszawę, gdzie się pełnomocnicy rzeczywiście zbrali. Ze strony polskiej byli obecni: biskup warmiński Paweł Logendorf, Wincenty Kielbasa, Scibor Bażyński, jako gubernator Prus i inni.

Po długich pertraktacjach, w których posłowie mistrza jeszcze wyprosilili dla swego pana Królewiec, za obowiązek składania hołdu, już się układy miały rozbić, bo mistrz upornie żądał Malborgu, swej i poprzedników swych wspólniejszej rezydencji, a król oświadczył, że jako pan ziemi pruskiej, powinien też być panem naczelnego zamku. Mistrz się opierał, a króla na wiadomość o jego usposobieniu zaczęła wrodzona łagodność opuszczać. W tej chwili skłonił legat i Wincenty Kielbasa mistrza do ustępstw, a gdy legat przed królem na kolana upadł i błagał, by już raz przelewowi krwi koniec położyć, przystał Kazimierz na zmianę Pasymia, Nidborka i Pruskiego Holandu na Sthum, Bratyaui i Nowemiasto nad Drwęcą i zezwolił, by mistrz przed nim stanął.

Pełen smutku i wstydu ruszył władca dawniej tak potężny w drogę ku Toruniowi; podobno już nawet nie miał stosownego ubioru. Szlachetni Polacy, chcąc mu wstydu ująć, wyprawili się przeciw niemu w świetnym poczcie. Król powitał upokorzonego serdecznie i otwarcie, a cały dwór polski uściśnął mu rękę. Jeszcze kilka dni minęło w ostatecznych układach i spisaniu długiego traktatu pokojowego. Dziewiętnastego października 1466 r, wszystko było ukończono. W dużej sali, giełdy odczytano ugodę przed królem, mistrzem i całym dworem, w polskim i niemieckim języku. Tedy zbliżył się mistrz do króla i ugiął kolano, lecz Kazimierz prędko go podniósł, uściśnął i zalał się łzami. Następnie obaj klękli przed legatem i dotykając się krzyża, przysięgli że szczerze pokoju dotrzymają. To samo uczynili obecni panowie polscy i dygnitarze krzyżaccy. Potem udali się wszyscy do kościoła panny Maryi, gdzie legat odprawił sumę i „Te Deum” zaśpiewał.

Wspaniałą ucztą w ratuszu, na której król mistrza i dworzan jego serdecznie podejmował, skończył się ten ważny dzień w dziejach naszych. Kazimierz był tyle wspaniałomyślny, że mistrzowi nietylko bogate ubiory i naczynia dla niego i dla domu jego darował, ale także 300 złotych czerwonych na drogę wręczył.

Do opisu tego dodamy jeszcze, że w czasie uroczystości kościelnej u Panny Maryi zasiadła w ławce swojej, czerwonym sukniem obitej, poważna matrona we wdowiej szacie, otoczona gronem cór dorosłych, z których trzy nosiły już czepce białogłowskie, a najmłodsza miała narzeczonego wśród dworzan królewskich. Czytelnicy odgadli zapewne, że była to pani Hanna z Oporowa a z nią dawna panna Marychna, wtedy już żona wojewodzica chełmińskiego i matka trzech synów, Cęla, (pomimo, że matka w skrytości serca pragnęła niegdyś poświęcić ją Bogu w zakonie) poślubiona panu Janowi z Dębna, walczącemu mężnie pod Malborgiem. Antochna, żona Chwalisława ze Skrzywna, który niegdyś dopomógł wojewodzie w poszukiwaniach pani Oporowskiej i Jadwiczna zaręczona z chorążym Dębińskim, synem Jakóba, kancлера koronnego.

— Jakkolwiek zawsze nieodżałowanym jest wypadek, żeś nie odnalazł kapitanie Dick Petersa, jednakże dzięki szczegółowemu notatkom Artura Pryma, mamy pewną przed sobą drogę. — odezwał się milczący dotąd Jem West.

— Jest to bezwątpienia bardzo ważna i szczęśliwa okoliczność — odpowiedział Len Guy — że znamy tak dokładnie geograficzne położenie wyspy Tsalal.

— Obyśmy tylko nie potrzebowali posunąć się w naszych poszukiwaniach aż poza 84° — zauważyłem.

— Ależ to całkiem byłoby zbyteczne, gdy wiemy przecie, iż ci, którym spieszymy z pomocą, nie opuścili Tsalal! — odparł żywo kapitan.

— Tak jest, wiemy o tem — potwierdziłem, i zamysliłem się głęboko, zdawało mi się bowiem samemu dziwnem, i jakby snem tylko, że się dałem opanować jakiejś sile nagle wzbudzonej we mnie, sile, która mię pchała ku nieznanym, niezbadanym, pełnym tajemniczej grozy stronom podbiegunowym.

— Kto wie — zawołałem wreszcie — może właśnie teraz ten „*Sfinks lodowy*” świata antarktycznego, pierwszy raz przemówi i da się poznać!

W pierwszych dniach podróży, nowa załoga obeznawała się powoli ze swymi obowiązkami, w czem znajdowała chętną pomoc wśród dawnej, wypróbowanej już obsługi Halbrana. Wszyscy też okazali się gorliwi w spełnianiu swych czynności, nie tyle może jeszcze z naturalnego usposobienia, ile pod groźbą nieubłaganej surowości porucznika. Hurliguerly bowiem, nie omieszkał ich poinformować, że Jem West żelazną ma rękę, która umie być dotkliwie czynną, gdy tego zachodzi potrzeba.

Jeżeli jednak inni nowicyusze liczyli się na pewno z wymagana karnością, Hunt nie zdawał się potrzebować takiego postrachu. Milczący jak ryba, z akuratanością maszyny wypełniał obowiązki swoje, a nie łącząc się nawet na spoczynek z resztą załogi, sypiał w jakimkolwiek kącie na pokładzie.

Mimo wiosennej już ówczesnej pory, temperatura była jeszcze dość chłodną; wszyscy też zachowaliśmy niezmiennie ubrania zimowe, które dla majtków składały się z wełnianych koszul i takichże, z grubego materiału kurtek i spodni, na co wkładano jeszcze płaszcze z ceratowym kapturem, który zabezpieczał głowę od deszczu, śniegu i ostrych podmuchów wiatru.

Stosownie do zamiaru kapitana, wyspy Sandwich miały być punktem wyjścia wprost ku południowi, po której to drodze wypadało zatrzymać się Nowej Gergii, oddalonej już o 800 mil morskich od Falklandów, poczem Halbran zachowując kierunek linii południka, miał zejść aż pod 84 równoleżnik.

Dnia 2-go listopada znaleźliśmy się pod 52° 15' szerokości, a 47° 33' długości zachodniej, w którym to miejscu zaznaczono istnienie wysp Aurora; mieliśmy zatem okazję stwierdzić mylność tych wiadomości, bowiem na najdalszej nawet przestrzeni, nie było można dostrzedz nawet najmniejszego kawałka lądu.

Stanowczo więc ambicje pana Glass, odnośnie do nadania ziemiom tym jego nazwiska, nie urzeczywistnią się nigdy.

Tymczasem sprzyjająca nam stale pogoda, przerwana została nawałnicą z gwałtownym wichrem, trwającym całe

dwie doby. Dla bezpieczeństwa zatem, a choćby tylko dla ulżenia statkowi w tej walce z rozszalałym żywiołem, Jem West wydał rozkazy zwinięcia niektórych żagli, pochylenia drugich, słowem zastosowania wszelkich odpowiednich warunków. Z próby tej nowa załoga wywiązała się tak dobrze, że zyskała nawet pochwałę bosmana, który przed wszystkimi wyróżnił jeszcze Hunta, jako najręczniejszego, mimo tak niekieształtnej na pozor budowy ciała.

— Doskonały to nabytek z tego Hunta, panie Jeorling — rzekł nazajutrz do mnie — nie omyliłem się, gdym twierdził że stary już z niego wilk morski.

— Sam się przyznał kapitanowi do długoletniej służby na okrętach — objaśniłem. — Dobrze, że choć w ostatniej przedstawił się chwili...

— Ale czy spojrzawsz też pan na niego kiedy uważnie?

— Owszem, przypatrywałem się mu już nieraz. W Ameryce w okolicach Far-West spotykałem podobne jemu typy; pewny też jestem, że pochodzić musi z rasy tamecznych indyjskich plemion.

— Ba, i u nas w Lancashire albo i w Kent nie braknie takich, którzyby jemu w sile dorównali.

— Nie wątpię, nie wątpię — zapewniałem — choćby ty sam bosmanie...

— Daj pan pokój! Ot, każdy jest tem, czem jest... — bronił się Hurliguerly przeciw moim żartom.

— A rozmawiałeś też kiedy z tym Huntem? — zapytałem.

— Tyle co nic! Mówię panu, wydostać od niego choćby słowo jedno, to bodaj sztuka największa! Nie dla braku ust, myślę, boć ma je duże od ucha do ucha. A ręce! Czy widziałeś pan kiedy te niedźwiedzie łapy? Do kroćset, nie wesoło być musi temu, kto się znajdzie w jego uścisku!...

— Na szczęście jednak Hunt zdaje się być człowiekiem spokojnym, nie szukającym zaczepki i kłótni, w którychby mógł popisywać się ze swą nadzwyczajną siłą.

Rzeczywiście, postać Hunta była dla mnie interesującym okazem, i niejednokrotnie siedząc na pokładzie, przypatrywałem się mu z podziwem, mianowicie gdy szeroką swą dłoń oparł na sterze i kierował nim lekko, bez cienia nawet wysiłku. W zamian wszakże, często też spotykałem przenikliwy i badawczy wzrok jego, skierowany ku mnie. Czemuż jednak właściwie zaciekawiać go mogłem? Czyby szczególną rolę moją pasażera na statku, który dążył daleko, aż za koło biegunowe, ku jakiejś bajecznej wyspie Tsalal?...

Dnia 10-go listopada, przednie strażnice oznajmiły ukazanie się lądu. Była to ziemia św. Piotra, albo jak ją Anglicy ponazywali: Południowa Georgia, Nowa Georgia, lub wreszcie wyspa Króla Jerzego, która leży pod 41° 13' długości zachodniej.

Jeszcze przed Cookiem pierwszy zawinął tu Francuz, nazwiskiem Barbe; angielski wszakże podróżnik nie licząc się z tem bynajmniej, nadał jej powyższe nazwy, które też w geografii przyjęte zostały.

Otulona w ciężkie, żółtawej barwy mgły, wyspa ta pustą jest zupełnie, a na jej skalistym gruncie, nad który wznoszą się odwiecznym śniegiem pokryte góry, zaledwie słabe widnieją oznaki życia roślinnego w postaci bladych, bezbarwnych prawie mchów i porostów.

Wieczorem już, Halbran minawszy zatoki Possession i Cumberland, zarzucił kotwicę w przystani Royal, aby zatrzymać się tu dobie całą, głównie dla zaczerpnięcia świeżej wody, która w baryłkach na spodzie statku, bardzo prędko się zagrzewa.

Gdy nazajutrz kilku naszych ludzi zapuściło się w głąb wyspy w celu poszukiwania czystych źródeł, udałem się wraz z nimi, aby poznać tę ziemię której grunt w nizinach nie tyle jeszcze jest jałowym, ile wiejące tu od bieguna mroźne wichry, wstrzymują wszelką vegetację.

Gromady pingwinów płoszone naszym nadejściem, krzykiem wielkim zdawały się protestować temu wtargnięciu ludzi w bezpodzielne ich prawie dotąd królestwo.

Dnia 12-go listopada Halbran opłynął przylądek Charlotte i skierował się na południo-wschód, ku oddalonym o 300 mil wyspom Sandwich.

Do tej pory nie spotkaliśmy ani jednego lodowca, co świadczyło, że słońce nie ogrzało jeszcze dostatecznie stron biegunowych, bo jakkolwiek 50 równoleżnik tej półkuli odpowiada położeniu Paryża lub Quebec'u na północy, jednakże płynące tu góry lodowe, nie bywają osobliwością żadną.

Tymczasem niebo przybrało ciężką, szarawą barwę — i gdy ulewny deszcz zaciął ostro, gęste mgły które się dookoła rozłożyły, utrudniały do pewnego stopnia żeglugę, jakkolwiek na szczęście, właśnie ta przestrzeń oceanu wolna od raf podwodnych, nie przedstawiała niebezpieczeństw żadnych dla całości statku.

Widocznie jednak mgła ta nie krępowała w najmniejszej rzeczy stada przelatujących ptaków, które przeciw kierunkowi wiatru płynęły lekko, nie poruszając prawie skrzydłami, a tylko przeraźliwym krakaniem zwiastując nam swą obecność.

Natomiast nie obdarzeni tak bystrym wzrokiem, jaki natura dała ptakom, nie zdołaliśmy, dla owej mgły właśnie dostrzedz leżącą w bok między Nową Gergią a Sandwich, wyspę Trawersy, odkrytą przez Bellingshausena, oraz cztery drobne wysepki, które zaznaczył Brown, nazywając je: Welley, Polkar, Prince — Island i Christmas.

Co prawda, o tyle tylko zależało nam stwierdzić ich istnienie, o ile mieliśmy zamiar zdaleka je ominąć dla ich skalistych, niebezpiecznych brzegów.

W nocy z dnia 14-go na 15-ty szczególnie blask czerwony, niby łuna odległego pożaru, zajaśniał w stronie zachodniej — i podczas gdy zaciekawieni, mimo deszczu zebraliśmy się na pokładzie, Len Guy wytłumaczył zjawisko słusznym prawdopodobnie przypuszczeniem, iż pochodzi z czynnego często wulkanu na wyspie Trawersal. Ponieważ jednak przy bacznej uwadze, nie dosłyszeliśmy żadnego łoskotu towarzyszącego zwykle wybuchowi, przeto musiało nas rozdzielać dość znaczna odległość, zapewniająca nam zupełne bezpieczeństwo. Bez żadnej więc zmiany Halbran podążał dalej w obranym kierunku.

Gdy nad ranem dnia 16-go uciszył się wiatr i wraz z ustaleniem pogody poczęły opadać gęste mgły, majtek Stern spostrzegł zdaleka na północno-wschodniej stronie wielki trójmasztowy okręt, który wszakże niebawem znowu tak szybko mgły przysłoniły, iż nie można było rozpoznać jego narodowości.

Może był to jeden z żaglowców należących do wyprawy Wilkesa, a może też tylko jakiś okręt rybacki, polujący na dość licznie ukazujące się wieloryby.

Tymczasem zbliżyliśmy się do wysp Sandwich, którym Cook zrazu miano Southern-Thule nadał, uważając je za ziemie najdalej na południe położone.

Od tych to brzegów wypłynął Jan Biscoë w 1830 roku, by szukać przejścia do bieguna, a drogę tę przebyło następnie aż do obecnej chwili wielu innych podróżników.

W 1822 r. Morrell zawinął do Sandwich w nadziei znalezienia drzewa opałowego, którego brak dokuczliwie dawał mu się we znaki; doznał jednakże zupełnego zawodu, bo ostrość klimatu wstrzymuje tu wszelką bujniejszą vegetację.

To też nie w podobnym celu doświadczony Len Guy zatrzymał się tutaj, lecz by zachowując wszelką przezorność, rozpatrzyć te ziemie, równie jak wszystkie inne leżące na tych krańcach oceanu i nie pominać jakiegokolwiek śladu, mogącego dać mu świadectwo o obecności któregoś z ludzi Oriona. Łatwe bowiem było przypuszczenie, biorąc w rachunek spotkany lodowiec ze zwłokami Watersona, że podobny los mógł również spotkać innego jeszcze z jego towarzyszy niedoli. A potem czy lodowiec taki szczęśliwym wypadkiem, nie mógł zatrzymać się u brzegów spotkanego na swej drodze lądu?

Archipelag Sandwich leżący pod 59° szerokości, a 30° długości zachodniej, składa się z mnóstwa drobnych, przeważ-

źnie w kształcie głowy cukru wysepek, wśród których pierwsze co do wielkości miejsce zajmują wyspy: Bristol i Thule. W pobliżu pierwszej Halbran zarzucił kotwicę.

Gdy nazajutrz Jem West udał się z kilku majtkami na wielkiej łodzi do skalistej, o trudnym przystępie Thule, kapitan Len Guy wraz ze mną zwiadał pustą i przerażająco smutną Bristol.

Wszakże poszukiwania nasze zarówno dnia tego jak i następnego okazały się próżne. Wśród tych nagich skał, u których podnóża zaledwie zieleniły się nędzne, drobne roślinki, nic nie wskazywało pobytu istoty ludzkiej. Kilka też wystrzałów danych z armaty Halbranu, odbiły się jedynie głuchym echem, płosząc wrzaskliwe ptactwo, osiadłe na wybrzeżach.

Rozmowa nasza w tych wycieczkach obracała się naturalnie około tego samego, a tak żywo obydwóch zajmującego przedmiotu.

— Wiadomem ci jest, kapitanie — rzekłem wreszcie — że podług pierwotnego zdania Cooka, wyspy te miały być łądem stałym, który to błąd później dopiero sprostował, pozostając w każdym razie przekonany o istności obszernej ziemi pod samym biegunem...

— Sądziłbym, że istnieć tam mogą dwa nawet łądy rozdzielone szeroką przestrzenią wody, a jeśli jest jeden tylko, to posiadać musi, jak już raz nadmienilem, nadzwyczaj głęboką zatokę, która dozwoliła Weddellowi, a w sześć lat po nim memu bratu, dopłynąć tak daleko. Jeżeli też wielki nasz podróżnik zmuszonym był nawrócić już od 72-go równoleżnika, nie mając szczęścia w napotkaniu tego przejścia, innym udało się to już uczynić — inni jeszcze uczynią to w przyszłości.

— Do tych ostatnich my najpierw należeć będziemy, kapitanie...

— Z Bożą pomocą! — potwierdził Len Guy. — I gdy Cook śmiał twierdzić, że mogące istnieć tam ziemie, nigdy przez ludzi poznane nie zostaną, wiadomem nam jest iż osiągnięto już 82-go równoleżnika.

— A nawet Artur Prym miał posunąć się jeszcze dalej — przypomniałem.

— Być może, panie Jeorling, na teraz jednak losy Pryma nie zajmują mię wcale, gdy pewnym jest fakt, że zarówno on jak i Dick Peters, wrócili do Ameryki...

— A jeśli Prym nie powrócił...

— Sądzę, że niema w tem najmniejszej wątpliwości — odparł kapitan spokojnie.

### Od Sandwich do koła biegunowego.

Po sześciu dniach żeglugi statek nasz znalazł się naprzeciw grupy wysp Nowych-Południowych-Orkney'ów, z których Coronation z górą wysoką na 2,500 stóp, oraz Laurie, zakończona na zachód przylądkiem Dundas, wyróżniają się z pomiędzy wielu, niekiedy tylko pojedynczemi skałami wznoszących się nad poziom morza, drobnych łądów.

Archipelag ten odkryty wspólnie przez Amerykanina

Palmera i Anglika Botwella w 1822 roku, rozkłada się między 44 a 45 równoleżnikami.

Skaliste, poszarpane brzegi tych łądów, otaczały jeszcze dokoła niby zwaliska forteczne, olbrzymie bryły lodowe, które niebawem popłynąć miały z prądem, ku stronom o klimacie więcej umiarkowanym.

Z należą ostrożnością przeprowadził Len Guy statek zdala od lodowców wyspy Laurie i dnia 25-go stanął przy południowych brzegach wyspy Coronation.

Poszukiwania tu nasze, odnośnie do rozbitków Oriona okazały się bezowocne, przy czem stwierdzić mogliśmy, że są to prawdziwe ziemie załoby i smutku szczególnie w porze, póki je nie ogrzeją nieco cieplejsze promienie słońca, pobudzające do życia nadzwyczaj skromną tylko roślinność.

To też Weddell stracił napróżno czas i trudy, przybywając tu we wrześniu w 1822 roku w celu zaopatrzenia się we futra fok; zima bowiem jeszcze wtenczas trwała w całej swej potęgze, gdy obecnie już Halbran mógłby zabrać tego towaru ładunek niemały.

Wśród pingwinów i innego ptactwa osiadłego tu w tysiącnych gromadach, zwróciły uwagę moją również liczne, tak zwane „białe gołębie”, których pojedyncze okazy spotykałem już w innych miejscowościach. Nie są to wszakże płetwonogie lecz szczudłowate, o dziobach długich, stożkowatych i czerwonych w około ocz obrączkach; tak zaś mało okazują płochliwości, że można je żywe, bez najmniejszego trudu chwycić.

Dbały o żywność załogi bosman, poczynił też z nich zapasy znaczne, nie gardząc również mewami, a nawet pingwinami i gdyśmy razem na łodzi wracali do Halbranu, nie omieszkał zachwalać mi swej zdobyczy.

— Pingwiny, panie, gdy dobrze przysposobione, nie ustępują w niczem nawet pieczystemu z kurczęcia. Ale prawiada, musiałeś je pan już jadać tam na Kerguelen...

— A jakże, stary Atkins nie omieszkał zapoznać mię z tym przysmakiem, który zawsze własnoręcznie przyrządzał.

— Już to, nasz Endiroł nie gorzej pewnie od niego zna się na tej sztuce — zapewniał Hurliguerly, dumny z talentu swego przyjaciela.

I rzeczywiście, jeszcze tego samego dnia cała załoga raczyła się z wielkiem zadowoleniem pieczystem z pingwinów, które dało świadectwo wielkiej znajomości sztuki kulinarnej naszego pocziwego kucharza murzyna.

Dnia 26 listopada o szóstej godzinie rano, Halbran skierowany ku południowi, podążył wedle ścisłego obliczenia, drogą Weddella i Wiliama Guy. Mogliśmy więc mieć wszelką nadzieję zawinięcia wprost do wyspy Tsalal.

Któż jednak przewidzieć zdoła przeszkody, jakie nas może czekały, a na które zawsze lepiej być naprzód przygotowanym!

(d. c. n.)

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

THEŚĆ: Grobowiec Kopernika we Frauenburgu (z ryc.) — Profesor w teczce przez Jadwigę Warnkównę. — Wojny krzyżowe. — Panna Marychna z Oporowa przez A. z Ch. Borkowską. — Ptaki wiersz (z ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Dodatek: Za dziesięć groszy przez A. R. (z ryc.) — Za karę, komedyjka w jednej odsłonie. — Jagienka przez Z. R. — Łamigłówni i rozwiązana. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.



# WIECZORY RODZINNE

## Za dziesięć groszy.

Tłumno i gwarno zrobiło się na dziedzińcu szkolnym, rozdano cenzurki, rozjaśnione twarzyczki uśmiechały się do siebie, gdzieniegdzie zebrała się cała gromadka, odczytując z lubością dopiero co otrzymane świadectwa pilności, rzadko tylko spotykało się twarz smutną — widocznie niedostateczne stopnie były powodem tej chmury na czołe, w oczach jednak czytałeś chęć poprawy na przyszłość.

Wakacye! co za rozkosz, chłopcy za kilka godzin znajdują się pod rodzinnymi dachami, w objęciach rodziców. To też szybko rozbiegają się w różne strony, każdy ma jeszcze coś do załatwienia. Do widzenia! Bądź zdrow! słychać naokoło. Jeden z mniejszych, Antoś, odbiega najpierwszy, za parę godzin wyjeżdża na wieś. Chciałby każdemu przywieźć gościńca z miasta, ma trochę oszczędności w kieszeni, spieszy więc tam, gdzie najwięcej kupić można za niewielką sumkę. W kilka minut znalazł się za Żelazną Bramą. Tyle tu rzeczy do wyboru. Niedługo ma już gospodarstwo dla siostrzyczki, konika dla malutkiego braciszka Stasia, fartuch dla pocziwej Marcinowej, parę łokci trzaskawki do biczów dla fernali, chusteczkę dla Marysi pokojowej i wiele jeszcze innych drobiazgów, dla różnych osób przeznaczonych. Jest już na Marszałkowskiej z powrotem do mieszkania, obładowany sprawkami, ale z pustką w kieszeni. Nagle przypomina sobie Franka, gęsiarka, dla niego nie jeszcze nie kupił, a przecie i on wygląda panicza. Zmartwił się Antoś, bo parę groszy ma już tylko w kieszeni, a biednemu Frankowi pewno przykro będzie, że tylko o nim zapomniał. Smutno bardzo zrobiło się Antosiowi, bo złote serce u tego chłopca. Z myślami temi stanął przed wystawą księgarń, tu wpada mu w oko książeczka: Kto to był Mickiewicz? Cena jej 10 groszy. Mama nauczyła Franka czytać przez zimę, jaka ta mama dobra, więc tylko 10 groszy i nie zrobi przykrości Frankowi.

Szczęśliwy Antoś już siedzi w wagonie, za kilka godzin uciecha ogólna: mama, tatuś, małe rodzeństwo na ganku domu oczekują upragnionego gościa. Nareszcie zajechał, uściskom, pytaniom końca niema, a ile radości z podarunków. Zbliżył się wieczór, Franek gąski przypędził z pola, aż mu oczy zabłyśły, gdy książeczkę do rąk dostał. Niedługo widzi Antoś Franka przed chałupą matuli wdowy, siedzi na ławie, objął za szyję siostrzyczkę Jagusię i oboje zatopieni w czytaniu. Drżą ze strachu gdy wyczytali o owych zbójcach z długimi brodami, co mieli ogromne buławy i noże za pasem, co to ich było dwunastu, ale śmieją się już, bo najstarszy zbój opowiada, jak to modlitwa dzieci ocaliła ojca. Przecie i oni niedawno tak gorąco modlili się za matulę, gdy długo nie wracała z miasta w czasie burzy z piorunami a Najświętsza Panienska wysłuchała ich tak samo. A jakie śliczne obrazki ten Pan Tadeusz i Zosia. Jutro Jagusia pójdzie



z Frankiem na pole za gęskami, będą czytać dalej, bo teraz już ciemno, matula spać wołają.

Antosiowi mało serce nie wyskoczy. Co za szczęście, że książeczki takie tanie!

A. R.

## ZA KARĘ.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSEONIE.

(Dokończenie).

### SCENA IV.

(Wchodzą: Józia, Kazio, Janek i Zośka).

JÓZIA. No i cóż Amelciu, namyśliłaś się?

KAZIO. Należysz do nas, czy nie?

AMELCIA. Owszem, będę się z wami bawiła; wierszy nauczę się później.

JÓZIA. Ach! jak to dobrze, że nareszcie zdecydo-

wałaś się porzucić te niezdolne wierszydła. Będzie nas więcej, to i zabawa raźniej pójdzie.

JANEK. A w co się będziemy bawili, panienko?

ZOŚKA. Cicho Janku, nie odzywaj się niepotrzebnie. Jak przyjdzie czas, to nam powiedzą, w co się będziemy bawili.

JANEK. A ty Zośka, nie wtrącaj się do mnie, bo ja wiem przecież, co robię.

ZOŚKA. Widzicie, jaki mi mądrała!

JANEK (*wygrażając jej*). Ty mi nie wymyślaj, bo pominiętasz!

ZOŚKA. No, no, no, Janek! miej przecież baczenie, że jesteśmy z panienkami i paniczem. Gdyby matusia słyszeli, daliby ci za to!

JANEK (*zawstydzony, kłania się nisko*). Przepraszam panienki i panicza. Zapomniałem się i o małe co do sprzeczki nie przyszło.

KAZIO. Nic nie szkodzi; i nam się to czasami zdarza.

JÓZIA (*na stronie*). To się nazywa czasami, jak parę razy na godzinę sprzecza się ze mną.

KAZIO. Ja się nie sprzeczam z tobą, tylko ty ze mną zawsze zaczynasz.

JÓZIA. To wszystko jedno, kto zaczyna.

KAZIO. Nie wszystko jedno, bo żebyś ty nie zaczęła, to jabym się nigdy nie sprzeczał.

JÓZIA. Nieprawda!

AMELCIA. Ech! jeżeli tak będziemy się bawić, jak dotąd, to wolę się uczyć.

KAZIO. Ależ nie gniewaj się. Będziemy się bawili, tylko jeszcze nie wiemy w jaką grę.

JANEK. Ja wiem, że panicz, to chciałby wojnę, prawda?

KAZIO. Rozumie się! Ale z dziewczętami to nie można.

JÓZIA. Cóż ty myślisz, że my się w wojnę bawić nie potrafimy?

AMELCIA. Dajcie pokój wojnie. W pokoju to do niczego...

ZOŚKA. Lepiej w cenzurowanego.

JÓZIA. Ech! siedzieć tak na jednym miejscu!... Ja wolę w pocztę.

AMELCIA. Wiecie, co ja wam powiem?

JANEK. Nie wiemy, proszę panienki.

KAZIO. No mów, co takiego?

AMELCIA. Wybierając tak gry, jak dotąd, nigdy się nie zgodzimy na jedną. Lepiej więc będzie, gdy każdy napisze na karteczce grę, która mu się najwięcej podoba, a później przeczytamy i wybierzemy tę, która najwięcej mieć będzie głosów.

JÓZIA. Rzeczywiście, niezły pomysł. Janek i Zośka umieją pisać, prawda.

JANEK i ZOŚKA (*razem*). Umieemy, proszę panienki.

KAZIO. Dalej więc do roboty. *Kraje kartki z papieru i rozdaje. Wszyscy piszą w milczeniu.*

### SCENA V-ta.

(*Wchodzi Elżbieta*).

ELŻBIETA. Panno Amelciu, niosę wesołą nowinę.

AMELCIA. Cóż takiego?

ELŻBIETA. Jak to dohrze, że panicz i panienki ucyli się już lekcyi.

KAZIO. Ja się tam wcale nie uczyłem i uczyć nie będę!

JÓZIA. Ja także.

ELŻBIETA. Aha! nie mówiłam? Że panna Józia i pan Kazimierz, to straszne leniuszki!

AMELCIA (*na stronie*). Ach! jakże żałuję, że skłamałam! (*głośno*). Moja Elżbieto, proszę mi powiedzieć tę wesołą nowinę?

ELŻBIETA. Przyszli konie po panienki i po panicza.

KAZIO. Doprawdy? Od cioci Stasi.

JÓZIA. A listu niema?

ELŻBIETA. Jest list, zdaje mi się, że to do panny Amelci, bo poznałam literę „A” na kopercie. (*Podaje list Amelci i wychodzi*).

AMELCIA (*rozrywając kopertę*). Ach! Boże! Nie wiem czemu drzę całą...

JÓZIA. I cóż pisać?

KAZIO. Od kogo ten list?

AMELCIA. Od panny Julii. (*Czyta głośno*). Kochana Amelciu. Zapewne już nauczyłaś się wierszy, przesłuchaj więc Józję geografii, zobacz, czy Kazio napisał wypracowanie, a jeżeli wszystko jest wykończone, to możecie jeszcze przyjechać na zabawę.” (*Załamując ręce*). Ach! Boże! Czemuż się nie nauczyłam wierszy!...

JÓZIA (*skacząc po scenie*). Pojadę! pojadę! Do cioci Stasi!

AMELCIA. Więc umiesz lekcyę?

JÓZIA. Nie umiem.

AMELCIA. I chceszjechać?

KAZIO. Ach! Amelciu! Jakaś ty zabawna! Więc dla tego, że lekcyje nie odrobione, mamy pozostać w domu? Można przecież pannie Julii powiedzieć, że umiemy wszystko doskonale.

AMELCIA. Chcesz kłamać? Ależ, to byłoby bardzo brzydko i wstyd, bo cała prawda wyszłaby na wierzach po powrocie do domu.

JÓZIA. Już daj pokój morałom; ja biegnę się ubrać w nową sukienkę.

KAZIO. I ja się muszę przebrać. (*Wybiegają*).

AMELCIA. Nie, ja do tego nie dopuszczę! Ja nie pozwolę, żeby oni tak brzydko postąpili. Odpiszę pannie Julii i konie odeszłę. (*Wychodzi*).

### SCENA VI-ta.

JANEK. Zośka! I cóż ty na to?

ZOŚKA. A no nic.

JANEK. Pewnie pojadą i bawić się nie będziemy.

ZOŚKA. Nie gadaaj, Janek! Jechaliby tam, kiej lekcyi nie umieją.

JANEK. Jabym pojechał.

ZOŚKA. Nieprawda, nie wierzę ci, matusia nam przecież mówili nieraz, że kłamać to grzech.

JANEK. Masz rację, Zośka. Ty mnie znasz dobrze, wiesz, że ja tylko powiedziałem tak, aby gadać.

ZOŚKA. A widzisz! Jak ja to zaraz poznam!

JANEK. Co matusia powiedzą, to dla mnie święte. Ja nigdy nie chciałbym przyczynić jej zmartwienia.

I ksiądz proboszcz na nauce w kościele powiedział, że to wielki grzech martwić rodziców.

ZOŚKA. A tak, prawda; ale matuś nie dadzą się kłócić, a ty czasami..

JANEK (*przerzywając*). No, no, nie wymawiaj mi, Zośka, bo przecież każdemu się zdarzy, że się czasem zapomni.

ZOŚKA. Pewnie, że nie ty jeden na świecie lubisz się kłócić. Ja słyszałam, że pan Kazimierz i panna Józia, też się często sprzecza.

JANEK. Wiem, wiem, a panna Amelcia musi ich zawsze rozbrajać.

ZOŚKA. Panna Amelcia to grzeczna i dobra panienska, ale panna Józia to jakby nie siostra.

JANEK. A pan Kazimierz to tylko za panną Józią trzyma.

ZOŚKA. A tak, tak, i mnie się też widzi.

### SCENA VII-ma.

(*Wchodzi Amelcia*).

AMELCIA. Janku, Zośko, możecie iść do domu.

JANEK. Więc panicz i panienci pojadą?

AMELCIA. Nie, Janku, zostajemy w domu, ale bawić się nie możemy, bo trzeba lekcyi się uczyć.

ZOŚKA. Ja zaraz mówiłam, że nie pojadą. Pokłoń się Janek panienci i chodźmy. (*Kłaniają się nisko po wieszku i wychodzą*).

AMELCIA. Nareszcie zdołałam przekonać Kazia i Józię, że nie powinni jechać do cioci. Przyznali mi słusność i pozostali w domu, ale nie mogą sobie darować tego, że się nie nauczyli swych lekcyi i mnie przeszkadzali. Ach! jakże ja żałuję, że nie umiem wierszy! Niecałe pół godziny pilnej nauki, a mogłabym już jechać do cioci Stasi. Jesteśmy podwójnie ukarani, ale trudno, zasłużyliśmy na to. Ręczę, że to już raz ostatni! Zawołam teraz Kazia i Józję i zabierzemy się do książek tak pilnie, że cała wina będzie naprawioną. (*Wybiega*).

*N....ka.*

## JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(*Ciąg dalszy*).

— Częstochowę — zawołała — oblegli Szwedzi! zdobyli, złamali dane przyrzeczenie, że uszanują to święte miejsce!

— Nie, pod Częstochową, nie ma ich dotąd, ale są tu... o dwie mile stąd — w Zabrzeziu! palą, niszczą, rabują i ze wszystkiego pustkę czynią, a kto nie zdołał uciec, padł pod razami rusznic, lub stratowany rajtarskimi końmi!

Pan starosta Zabzeski, jak wiadomo pani bratowej, jest z panem bratem w chorągwi pana Stefana Czarnieckiego, a że Szwedzi wszędzie mają swoich szpiegów, wiedzą więc dobrze, kto stoi przy prawowitym panu i przy sposobności łupi im skórę. Zresztą listy giną często, mogą wpaść w plugawe ich ręce i stąd wiedzą wszystko, co

się w której okolicy dzieje; powiadał mi żydek faktor, który umyślnie przybiegł z tą smutną wieścią, aby nas ostrzedz, że właśnie znajdował się w Zabrzeziu, gdy Szwedzi tam wpadli. Widocznie był między nimi jakiś odstępeca, który służy Szwedom — ten wołał na całe gardło: Niech wiedzą co to znaczy odstępować Jego Miłość Królewską, potentata północy, Karola Gustawa. Tak każdemu będzie, kto nie uznaje jego mocy, kto przeciw niemu miecz podnosi! Każdemu tak będzie!... i w tejże chwili rzucił żagiew płonąca, na stodoły napelnione zbożem.

Pani Krzyska ręce załamała.

— O nieszczęśliwa pani Zabzeska, co się z nią i jej synkiem stało!

— Bóg i Matka Boska będzie ich miała w Swojej opiece — odparł pan Wojski — my musimy o sobie myśleć, bo nas ten sam los czeka.

— Ach, jakże ją niebogę zostawić bez ratunku!

— Pani bratowo dobrodziejko — zniecierpliwionym trochę głosem zawołał pan Bartłomiej — w Zabrzeziu co się stać miało, stało się już. Tylko Bóg może im dać pomoc, i mieć w swojej opiece, lub zabrać do Swej chwały jako męczenników, ludzka im pomoc na nic, bo zapóźna... A my myślimy o sobie, by losu ich uniknąć.

Pani miecznikowa z trwogą popatrzyła na słodko we śnie uśmiechniętego małego synka, na dziewczynki, które wszystkie trzy przytulone do niej, słuchały opowiadania pana Wojskiego.

— Cóż robić? — zapytała przerażona.

— Uchodźcie jak najprędzej, jak najprędzej dostać się do Częstochowy, to jedyne miejsce bezpieczne! Szwed nie ośmieli się pewno najść go z wojskiem swoim..

— Panie Bartłomieju, jakże tak opuścić dom nasz kochany i całe gospodarstwo na pastwę wroga.

— Pani bratowo! lepiej opuść majątek, niż ten drobiazg dać pod kopyta koni rajtarskich! Spalą, zrabują, ale ziemi nie zabiorą w kieszeń, będzie do czego wrócić, gdy nakoniec Bóg da, że Szwedów wypędzimy. Wiem to z pewnego źródła, że uciskiem swoim zniechęcają już wielu, z tych nawet, którzy z nimi dotąd trzymali. Niektóre z razu zwiedzione regimienta, odstępują ich i łączą się z tymi co stoją przy królu Janie Kazimierzu.

— Ha! cóż robić, uchodźmy! — ze smutkiem i niepokojem patrząc na dzieci swoje — wyrzekła pani miecznikowa — ale którądy, gdy cała okolica zalana Szwedami?

— Wszystko już obmyślane, kolasę i brykę zaprzęga, nie można tylko czasu tracić! dziś trzeba jeszcze kilka mil ujechać. Ludzi dworskich uzbroję jako tako, złożę z nich przednią i tylną straż, zawsze mieć będziemy wiadomość, czy tam, dokąd dążymy droga wolna, i czy za nami Szwedzi nie najeżdżają. Zrobimy, co można, a reszta w ręku Boga.

Pani miecznikowa nie już nie mówiąc, poczęła robić przygotowania do drogi. Trzeba było wziąć trochę zapasów żywności: do Częstochowy nie blisko, po zajezdnych karczmach trudno było co dostać, a i nie bardzo bezpiecznie zajeżdzać w tych czasach niespokojnych. Wiele potworzyło się, z ludzi chętnych łatwego zysku, mniejszych i większych partyi, które napastowały przejeżdżających, rabując i każąc się im opłacać.

(*d. c. n.*)

## ZAGADKA.

Do nazwy mej wystarcza, byś dwie tylko głoski  
Jedną na drugiej stawiał, co jednak nie zmienia  
Mego, w życiu człowieka wielkiego znaczenia.  
Bo zawsze pracy wiele, mozołów i troski  
Poświęcić mi powinien, zanim mię zdobędzie  
Ten, który mię ukochał. W zamian zaś za trudy,  
Jasno mu będzie w życiu i nie zazna nudy;  
Nieraz też byt dostatni wraz ze mną posiędzie.

## ARYTMOGRYF.

Strzelec z n. Warty.

- 1) 17, 3, 2, 14. Przylądek w połud. Ameryce.
- 2) 10, 15, 4, 3, 14, 10. Córka księcia litew. Giedymina.
- 3) 14, 10, 2, 8, 21. Dopływ Bugu.
- 4) 14, 8, 12, 2, 3, 4. Założyciel państwa babilońskiego.
- 5) 6, 7, 2, 22, 23, 13, 5, 10. W starożyt. Grecyi i Rzymie zabawy rycerskie.
- 6) 20, 6, 8, 20, 2, 22, 10. Rzeka na Litwie.
- 7) 10, 1, 8, 14, 23. Miasto w Grecyi.
- 8) 15, 8, 14, 10, 2, 1, 3, 21, 6, 9, 22. Współczesny polski poeta.

Zastąpić liczby literami, aby początkowe litery utworzyły nazwę słynnego wodza w starożytności.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożył Jakób Z.

1. Samogłoska.
2. Znaczna przestrzeń drzew.
3. Nazwa tańca.
4. Bohater z XV w. walczył pod Grunwaldem.
5. . . . .
6. Niewiasty porwane przez Rzymian.
7. Broń o podwójnym ostrzu.
8. Pływająca bryła lodu.
9. Spółgłoska.

Litery środkowe pionowo i poziomo złożą imię kilku królów polskich.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

Zagadki: Pokój.

## Niteczki Aryadny:

Głód, powietrze, ogień, woda  
I wszelaka zła przygoda  
Będą temu, ktoby starą  
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Marnie zginie! Wiatr rozmiecie  
Prochy jego po wszem świecie,  
Marnie zginie, ktoby starą,  
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

## Łamigłówki zoologicznej:

S k ł b a m t k  
O o o e p a u w  
J a s k o ł k a  
K l o a l ż a g  
A a ś s o e n a

## Skrzynka do listów.

*Czarnemu Sokołowi* dziękując za przesyłkę dla kolonii letnich, udzielamy chętnie życzonych objaśnień odnośnie do planety Marsa, który rzeczywiście jest bliskim sąsiadem Ziemi, będąc z kolei *czwartym* w naszym systemie planetarnym, w którym Ziemia zajmuje miejsce *trzecie*. Bliskość tę jednak nie możemy brać w naszym pojęciu ziemskim — odległość Marsa od Ziemi wynosi bowiem od 19 do 14 milionów mil. Ta nierówność oddalenia pochodzi z zakreslanych przez obie planety „orbitów eliptycznych” czyli owalnych linii obrotu wokół słońca. Są więc punkta, w których Ziemia z Marsem zbliżają się znacznie ku sobie, aby następnie znów się oddalić. Marsa łatwo bardzo wyszukać na gwiazdzistym niebie, wyróżnia go bowiem piękny, czerwony blask. Na podstawie ścisłych badań, astronomowie twierdzą, iż na Marsie istnieją, podobnie jak na naszej Ziemi, zmiany pory dnia i roku, ponieważ jednak odpowiednio do znacznie dłuższej linii orbity, obrót roczny Marsa wynosi 668 dni, przeto każda pora roku, prawie dwa razy dłużej trwa tam, aniżeli u nas. W przestrzeni między Marsem, a następnie krążącym, największym z planet Jowiszem, istnieje mnóstwo drobnych ciał niebieskich, asteroidami zwanych, które wszakże tylko przez teleskopy mogą być dostrzeżone.

Pani *Jadwidze T.* w Berszadzie. Pieniądze otrzymane z redakcyi Tygodnika Ill., zapisałyśmy na czwarty kwartał opłaty za *Wieczory*.

Pospieszamy zawiadomić *Nacia Jokisza*, że przesyłkę jego dla Kolonii letnich odebraliśmy, za którą też w imieniu obdarowanych serdecznie dziękujemy, tym więcej, że ze smutkiem nadmienić nam wypada, iż w tym roku biedne te dzieci poszły w zupełne prawie zapomnienie u naszych czytelników. Numera *Wieczorów* od 1-go lipca wysłane.

W nieobecności *Jaskółki*, która swych korespondentów już na całe dwa miesiące pożegnała, zawiadamiamy *Sroczkę* z Ukrainy i jej Szanowną Mamę, że niestety komitet budowy pomnika *Miekiewicza* nie przyjmuje już dalszych składek, gdyż przeznaczona na ten cel suma całkowicie zebrana została. Może więc *Sroczka* poczeka, aż komitet wskaże, na jaki cel mogłyby zostać użyte składki, które jeszcze nieustannie do wszystkich redakcyi napływają.

List *Konwalijski* z nad *Bachorzy* nie zastał już *Jaskółki* w Warszawie, w jej imieniu zatem Redakcyja przesyła ci *Konwaljko* serdeczne pozdrowienia wraz z życzeniami przepędzenia jaknajweselej drugiej połowy wakacji, kiedy już z łaski Boga twoi najbliżsi wrócili do zupełnego zdrowia. Skoro przejrzyś *Konwaljko* uważnie ostatnie numera *Wieczorów* odnajdziesz pewno naszą prośbę o nadsyłanie własnoręcznie uszytych ubiorków dla biednych dzieci.

Z prawdziwą przyjemnością odbieramy tak starannie napisane liściki jak *Kotusia E.*, a sądząc po nich, wierzymy chętnie, że *Kotus* z zamilowaniem utrzymuje swą biblioteczkę w porządku. Całoroczną opłatę otrzymaliśmy. Rozwiązanie arytmogryfu zupełnie dobre.

Łamigłówka przysłana przez *Gustawa S.* dobrze jest obmyślana, również szarady i łamigłówki *Puszczyka* z *Pilawy*, *Romana U.*, *Powiślanki*, *Zosi N.* i *Pilnego ucznia* przejrzone zostaną i z kolei wydrukowane, o ile okażą się odpowiedniami.

Dobre rozwiązania nadesłali: *Władzio K.*, *Astronom*, *Jelonek*, *Trzy siostry*, *Marynia Z.* i *Sarenka*.

*P. Janowi Pławińskiemu* z *Bobrzyńca*. Przesłane książki kosztują rs. 1 kop. 20, opłata poczty kop. 25, razem należy nam się rs. 1 kop. 45.